

DYMNA? TO ŻONA BIŃCZYCKIEGO!

Ile warta jest popularność, przekonałam się wiele lat temu, gdy w toalecie wrocławskiego dworca zobaczyłam okładkę czasopisma z moim zdjęciem

Rozmawia Wojciech Szczawiński

Z czym kojarzy się pani słowo „popularność”?

– Z czymś, do czego należy mieć ogromny dystans i czemu w żadnym przypadku nie można dać się uwieść. W pewnym sensie popularność jest dla mnie także synonimem samotności.

Chyba również zawodowego spełnienia?

– Owszem. Stawa i uznanie są tym, o czym każdy aktor marzy. Zaprzeczanie temu byłoby kokieterią. Im więcej widzów ogląda nas w teatrach, kinach i telewizji, tym bardziej czujemy się zrealizowani w tym zawodzie. Ludzie sceny, o których nie mówi się i nie pisze – nawet jeśli są znakomitymi artystami – często miewają kompleksy.

Gram od ponad 40 lat, jestem znaną aktorką nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami, oczywiście dla Polaków. Trudno mi jednak wyjaśnić, czym tak naprawdę jest dla mnie popularność – czy pomaga, czy też przeszkadza w życiu. Nieraz przekonałam się, że jest ona tyleż niebezpieczna, obrzydliwa i męcząca, co radosna, wspaniała i miła. Bukiety kwiatów, pełne uwielbienia listy i wiersze, uśmiechy przechodniów na ulicy, ale też podszyte straszliwą nienawiścią przekleństwa rzucane nocą przez mężczyznę biegnącego za mną ulicami Krakowa i twierdzenia oczekujących na tramwaj kobiet, iż Dymna jest morderczynią własnego męża – wszystkiego tego doświadczyłam. (...)

Popularność kojarzy mi się także z sytuacjami komicznymi. Kiedyś na przystanku przy Karmelickiej wpadła mi w ucho rozmowa dwóch pań. „Zobacz! – szeptała młodsza. – To Anna Dymna, córka Jerzego Bińczyckiego-



ANNA DYMNA

Na scenie Teatru Słowackiego w Krakowie, z jego dyrektorem Krzysztofem Orzechowskim.

gol”. Na to starsza: „Co ty mówisz?! Jaka córka! Przecież to jest jego kochanka!”. Wtedy młodsza zaoponowała: „Nie, nie... To jest jego córka, ja to wiem, bo widziałam”. „Ale ty głupia jesteś! – druga z kobiet najwyraźniej się zdenerwowała. – Ta Dymna tylko grała córkę Bińczyckiego. Tak naprawdę jest jego kochanką”. Wtedy do obu kobiet zbliżyła się starsza, elegancko ubrana pani i powiedziała z wyższością w głosie: „Przepraszam bardzo, ale Anna Dymna jest żoną Jerzego Bińczyckiego”. (...)

Sytuacje, jakie przytrafiają się osobom publicznym, stały się tematami skeczy kabaretowych. A publiczność bawi się, bije brawo, nierzadko

nie rozumiejąc, że tak naprawdę śmieje się z samej siebie.

– (...) Zdarza się jednak, że ludzie, nie kojarząc mnie, stają się agresywni. Na przykład jechałam kiedyś pociągiem. Jak zwykle w trakcie podróży coś tam czytałam i pisałam. Zauważyłam, że kobieta, która siedziała naprzeciw, zerka na mnie z coraz większą wściekłością. Po jakiejś półgodzinie wreszcie się odezwała: „Pani pracowała w Urzędzie Miejskim w Busku?”. „Przykro mi, nie pracowałam” – odparłam. „Aha... No dobrze” – westchnęła poirytowana współpasażerka. Po parunastu minutach odezwała się znowu: „Ale była pani w sanatorium w Ciechocinku?”. „Nigdy tam nie przebywałam” – odpowiedziałam. „Jak to, nie?” – w głosie kobiety pobrzmiwała coraz większa

wściekłość. Pytała jeszcze, czy przypadkiem nie pracowałam w szkole na Śląsku. W końcu, chcąc nie chcąc, wyjaśniłam jej grzecznie, że jestem aktorką. „Aktorką! Chciałaby pani być aktorką!” – zagrzmiała. (...)

Wspomniała pani, że słowo „popularność” jest również synonimem samotności. Jak to rozumieć?

– Ludzie, którzy w taki czy inny sposób się mną zachwycają, w rzeczywistości nie są przecież zainteresowani Anną Dymną jako człowiekiem. (...) Pośród miłych słów albo innych wyrazów uwielbienia nikt nie pyta, czy coś mnie boli albo czy przypadkiem nie przeżywam przykrości. Wiele osób z góry zakłada, że my, popularni aktorzy, jesteśmy zdrowi, szczęśliwi i bogaci. Tymczasem prawda bywa inna. Niektórzy moi koledzy i koleżanki cieszący się ogromną popularnością wracają wieczorami do pustych domów i z samotności wyją w poduszkę. Niektórzy z nich ciężko chorują, nie mając znikąd wsparcia. To dla nich właśnie moja fundacja wspólnie z Filharmonią Krakowską organizuje co roku koncerty charytatywne.

W moim życiu również zdarzały się momenty, gdy niby wielbiona przez tłum i przez wszystkich kochana, żyłam w poczuciu wielkiej samotności. Przecież popularność jest czymś, co łączy się tylko z moim zawodem. Życia prywatnego stawa nie dotyczy. (...)

Stawa panią męczy?

– Oczywiście zdarzają się chwile, kiedy mam serdecznie dosyć dziennikarskich pytań, wyrażania różnych opinii lub prośb o wspólne zdjęcie. Rozumiem jednak, że na

Ludzie sceny, o których nie mówi się i nie pisze, często miewają kompleksy.

znanych aktorkach i aktorach ciąży pewien obowiązek, któremu muszą sprostać. Nasz zawód jest nie tylko pracą zarobkową, lecz w jakimś sensie również posłannictwem. Każda osoba publiczna winna je rozumieć. Będąc znanym człowiekiem, nie można skarżyć się na ludzi proszących o autografy albo na telefony od dziennikarzy. Jeśli np. przyjmuję zaproszenie na Festiwal Gwiazd w Międzyzdrojach, to chociaż zdaję sobie sprawę, że decyduję się na uczest-

nictwo w pewnym malpiarstwie, nie jestem wściekła, gdy ludzie proszą mnie o autografy. Wiem, że na tego typu festiwalach taka jest moja rola. Muszę to akceptować. Osoby publiczne pełnią w społeczeństwie funkcje terapeutyczne, dla wielu ludzi jesteśmy wzorami do naśladowania. Dzięki naszej pracy dajemy im też odpocząć od męczącej codzienności życia. (...)

Jakie są ciemne strony popularności?

– Najbardziej dramatyczne wspomnienie mam ze spotkania z publicznością w Rybniku. Byłam wtedy

Wiele osób zakłada, że my, popularni aktorzy, jesteśmy zdrowi, szczęśliwi i bogaci.

w szóstym albo siódmym miesiącu ciąży. Tamtego dnia nie czułam się najlepiej. Pamiętam, że w potwornie dusznej sali zgromadziła się ponad setka osób. Było jednak sympatycznie. Przez blisko godzinę odpowiadałam na pytania. Na koniec zapytano o mój ideał aktorki. Odparłam, że jest nim Zofia Jaroszevska, wielka krakowska artystka z Narodowego Starego Teatru (...). „Jaroszevska?! To ta, co dzisiaj umarła!” – odezwał się nagle ktoś na sali. „Nie, nie – zaprzeczyłam natychmiast, przerażona nieco samym brzmieniem tej wypowiedzi. – Ostatnio pani Zosia nie czuła się co prawda najlepiej, ale teraz wyjechała do bratanicy w Marysinie i wszystko jest już w porządku”. „No to właśnie mówię, że ona umarła. Dzisiaj nad ranem – głos z publiczności wyjaśnił beznamiętnie. – W radiu mówili. Nie słyszała pani?”. Osoba prowadząca spotkanie potwierdziła szeptem, że Zofia Jaroszevska nie żyje. Zmroziło mnie. Był to dla mnie potworny

szok, z trudem powstrzymałam łzy. Poczulałam, że za moment zemdleję albo urodzę. Dałam znak, że nie jestem w stanie dalej uczestniczyć w spotkaniu, że trzeba natychmiast je zakończyć, bo w przeciwnym razie stanie się ze mną coś strasznego. Ale kiedy prowadzący spotkanie poinformował publiczność, że Anna Dymna poczuła się niedobrze i nie może dłużej odpowiadać na pytania, natychmiast do stołu, przy którym siedziałam, runął tłum żądny autografu. Nikogo nie in-

teresowało, że po mojej twarzy zaczyna spływać łzy. „Jeszcze dla mnie! Jeszcze dla mnie!” – przekrzykiwano się, nie dając mi jakiegokolwiek możliwości opuszczenia sali. Cudem mnie z niej wyprowadzono. (...)

Osoby publiczne u większości ludzi wywołują przedziwny respekt, dystans, być może nawet kompleksy. Dziwić się nie można...

– ...i czasami naprawdę trudno odgadnąć, dlaczego tak się dzieje. Przecież jestem zwyczajnym człowiekiem: jem, śpię, oddycham, zmywam podłogi... Funkcjonuję podobnie jak każda żywa istota. Tymczasem wy-

obrażenia dotyczące ludzi znanych budują przedziwne i niczym nieuzasadnione bariery. Zabrzmi to pewnie paradoksalnie, ale powiem panu, że zawsze trudno było mi rozpoznać, czy naprawdę jestem atrakcyjną kobietą w oczach mężczyzn. Oczywiście wiem, że byli niezwykle urzeczeni Anią Pawlaczka bądź innymi moimi filmowymi kreacjami sprzed lat. Zawsze nurtowało mnie jednak pytanie, czy wzbudzałabym w nich również wielki zachwyt, gdybym była księżową, sprzedawczynią w sklepie mięsnym, pielęgniarką, po prostu kobietą, która publicznie nie występuje. Tego nie wiem. Dzisiaj podchodzą do mnie tysi albo siwiejący panowie i mówią z rozrzewnieniem: „Boże świąty! Jak ja kiedyś się w pani kochałem... Tyle nocy nie przespałem, marząc, by chociaż panią dotknąć...”. „To czemuś pan wtedy nie przyszedł i mi o tym nie powiedział? – żartuję. – Może coś by z tego było”. (...)

Zapewne pani uroda (...) miała wpływ na szczególne traktowanie w sytuacjach, w których inni pozostawali niezauważeni.

– Może trudno będzie panu w to uwierzyć, ale tak naprawdę nigdy nie zdawałam sobie sprawy z atutu własnego wyglądu. (...) Nigdy zresztą nie byłam najładniejsza. Nie uważałam mnie za najpiękniejszą dziewczynę w szkole podstawowej i średniej. W szkole teatralnej również miałam koleżanki o niebo zgrabniejsze i, jak to się mówi, bardziej wystrzałowe. Nie czułam więc, że moja uroda jest wyjątkowa. Dystans, jaki mam do sie- ▶

Z mężem Wiesławem Dymnym,
urząd stanu cywilnego, 1972 r.

► **bie, to też zasługa Wieśka Dymnego, który pokazał mi, które wartości są w życiu najważniejsze.**

Moja pokora okazała się cenna. Miałam koleżanki dużo ode mnie ładniejsze, które również, jako młode aktorki, otrzymywały sporo propozycji grania. Przeświadczenie o własnej nadzwyczajności tak im jednak uderzało do głowy, że stawały się nieznośne. Same się wykańczały. Być może przed „wodą sodową” uratowało mnie również to, że zawsze najwięcej pracowałam w teatrze. Teatr to coś innego niż film. W nim nie jest tak bardzo istotne, czy na scenie pojawi się ładna buzia. Oczywiście uroda pomaga kobiecie w pierwszej fazie kariery filmowej. Ale z czasem, jeśli aktorka ma ambicję, to atrakcyjność zewnętrzna może stać się dla niej niemal przekleństwem, czymś, co ją upokarza. (...)

Powiada się, że sława jest jak narkotyk. Niektórzy, zaznajac jej, nie potrafia już bez niej żyć.

– Może. Dla mnie popularność nie jest uzależnieniem. Być może, gdybym zyskała ją nagle, na zaskakują-



„Mam córkę w Pani wieku, jest od Pani ładniejsza i mądrzejsza, a po świecie nie jeździ i w telewizji nie występuje”.

co olbrzymią skalę, przez przypadek, znaczyłaby dla mnie więcej. Tak się jednak nie stało. Co prawda, dosyć szybko stałam się rozpoznawalna, ale na uznanie publiczności pracowałam długo i uczciwie, dochodziłam do niego krok po kroku przez wiele lat. W zawodzie narkotykiem zawsze była dla mnie praca, szczególnie w teatrze i podczas realizacji spektakli w telewizji. Kazik Kutz sformułował to kiedyś bardzo trafnie. Robiąc jedno z przedstawień, powiedział do aktorów: „Jesteśmy teraz jak dzieci w piaskownicy. Będziemy rozrabiać. Dopóki mamy nagrania, nikt nam tego piasku nie zabierze. Chodzi tylko o to, żeby ta zabawa sprawiała nam przyjemność”. Tak to właśnie jest. Dojrzałam do tego, że mniej liczą się dla mnie nawet oceny publiczności czy recenzentów. Istotny jest sam akt twórczy. On jest wyłącznie sensem i radością mojej pracy, narkotykiem.

Nie sądzi pani, że pęd do sławy, nie tylko wśród młodych ludzi uczących się w szkołach teatralnych i filmowych, stał się powszechny? (...)

– Myślę, że to zupełnie normalne. Marzenie młodego człowieka, by stać się znanym i podziwianym, może uruchamiać w nim niezwykle twórcze siły. To nic, że biorąc udział w jakimś programie telewizyjnym, był rozpoznawalny tylko przez moment. To nic, że jego chwilowa po-

Na planie filmu „Wesela nie będzie”.



popularność była przypadkowa i tak naprawdę nic z niej nie wynika. Po powrocie do swojego małego miasta, w którym ludzie często żyją w przygnębieniu i nie przejawiają żadnych inicjatyw, ten młody człowiek zacznie inaczej spoglądać na życie. (...)

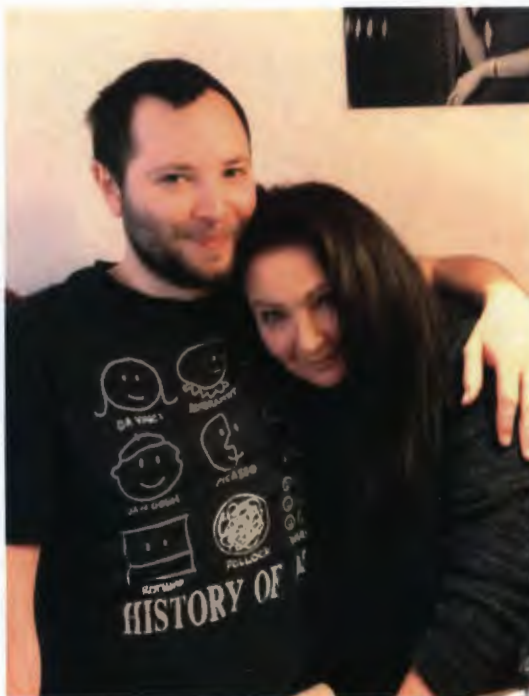
Ile tak naprawdę warta jest popularność?

– Trudno wypowiadać kategoryczne twierdzenia na ten temat. Ona raz jest, raz jej nie ma, czasami powraca, raz cieszy, innym razem przygnębia. Można zagrać jakąś rolę w głupkowatym serialu i już się jest sławnym, a czasem grać wiele wspaniałych ról w teatrze i nikt tego nie zauważa, kwiatów nie kupuje. O tym, ile warta tak naprawdę jest popularność, przekonałam się wiele lat temu, gdy w toalecie wrocławskiego dworca kolejowego zobaczyłam okładkę kolorowego czasopisma, na której znajdowało się moje zdjęcie. Ponieważ w tamtym czasie istniał deficyt papieru toaletowego, cel, jakiemu miała służyć, nie pozostawiał wątpliwości.

Innym razem stałam w długiej kolejce po jajka. Ogromnie zależało mi na ich kupnie, bo mój Michał był wtedy malutki. Jakaś egzaltowana kobieta rozpoznała mnie. „Patrziel!

Bywa, że czyjaś popularność budzi w ludziach potworną agresję.

To pani Anna Dymna! – zachwycała się głośno. – Ludzie, przepuście ją! Nie wypada przecież, żeby wielka aktorka, która tyle dobrego robi dla polskiej kultury, stała z nami w kolejce! No proszę, proszę, pani Aniu...”. Niemal siłą zaczęła mnie ciągnąć w stronę lady. Wtedy stojący nieopodal mężczyzna oburzył się. „Mam w dupie aktorki i kulturę! – wykrzykiwał. – One mają tyle pieniędzy, że jajka mogą zamawiać do domu!”. Wybuchła straszliwa kłótnia. Ludzie zaczęli toczyć spór, czy powinienam dostać jajka poza kolejnością, czy nie. Finał zdarzenia był taki, że straciłam miejsce w kolejce i niczego nie kupiłam. Nigdy też nie zapomnę, jak będąc w ciąży, zemdlałam w kolejce w sklepie mięsny. Usłyszałam wtedy, że jeśli taka Dymna się pier... to może również stać w ogonkach.



Z synem Michałem.

Dlaczego?

– Przeprowadziłam eksperyment. Na jednym z takich portali napisałam kiedyś trzy wiadomości. W jednej używałam tylko pozytywnych słów: „Kochany Przyjacielu, jesteś wspaniały, bo biegłeś w maratonie na rzecz mojej fundacji. Każdy Twój krok to uśmiech mojego podopiecznego. Z Tobą możemy zmieniać świat na lepszy”. Drugą wiadomość napisałam o Krakowskim Salonie Poezji. Trzecią o tym, że rano byłam na grzybach, a teraz je suszę i pięknie pachną w moim domu. Pod pierwszym moim wpisem od razu pojawił się komentarz: „Nie jestem żadnym twoim przyjacielem, ty stara, gruba k...”. Na autora tych słów natychmiast „wsiadło” mnóstwo internautów. 90% komentarzy było pięknych,

ale pod tym jednym wywiązała się ostra dyskusja. Uczestniczyło w niej ponad tysiąc osób. Hejtowali się wzajemnie, kłócili. Obserwowałam to zdumiewające zjawisko przez trzy godziny. Uświadomiłam sobie, że setki młodych ludzi – pisali takim językiem, że to musieli być młodzi ludzie – siedzą przy komputerach i szukają osoby, którą mogą obrazić, opluć, pobić choćby wirtualnie. Współczułam im. Naprawdę. Jakże muszą być samotni! Ile muszą mieć kompleksów! Jak źle musi im być w życiu, skoro chcą przywalać za to, że się pisze coś pozytywnego! Zresztą widzę takie rzeczy niemal na co dzień, prowadząc fundację „Mimo Wszystko”. Niejednokrotnie potworną agresję w nieszczęśliwych ludziach budzą dobre działania bliźnich. Ale moja mama zawsze mówiła, że ludzie są naprawdę dobrzy, tylko czasem tego nie wiedzą, bo są po prostu nieszczęśliwi.



Fragment książki Anny Dymnej i Wojciecha Szczawińskiego *Warto mimo wszystko*, Zaak, Kraków 2017

Bywa, że czyjaś popularność budzi w ludziach potworną zawiść i agresję. 80% procent listów, które otrzymywałam i otrzymuję, zawiera bardzo miłe słowa. Pisane są przez ludzi, którzy na początku składają wyrazy uwielbienia, ale potem zazwyczaj o coś proszą. Reszta korespondencji pochodzi od frustratów. Informowana jestem np., że świat jest potwornie niesprawiedliwy i że za tę niesprawiedliwość ponoszę winę osobiście. Pewna kobieta napisała: „Mam córkę w Pani wieku, jest od Pani ładniejsza i z pewnością mądrzejsza, bo jak oglądam te role, które Pani gra, to widzę, że mądre wcale nie są. Dlaczego tak się dzieje?! Moja córka po świecie nie jeździ i w telewizji nie występuje. A Pani, co? Perły, futra, długie suknie!”. Ludzie nie tylko fantazjują. Wyobrażają sobie także, że szczęście i radość życia warunkowane są wywiadami i okładkami gazet, na których może pojawić się ich twarz; że osoby publiczne wszystko mają za darmo i dlatego trzeba im zazdrościć. Nie znają jednak kulis tego wszystkiego. (...)

W przeciwieństwie do wlewu aktorów Anna Dymna nie ma profilu na żadnym portalu społecznościowym...

– ...ale miałam taki. Usunęłam go w tym samym dniu, w którym założyłam.